Urszula Smoczyńska

Moja przygoda z Orffem. Czy wszystko stało się przypadkiem?

W połowie grudnia 2007 r. zatelefonowała do mnie Beata Michalak z propozycją napisania artykułu do czasopisma „Wychowanie Muzyczne w Szkole". Cały numer miał być poświęcony działalności Carla Orffa i jego koncepcji elementarnego wychowania muzycznego. O czym miałabym pisać, nie potrafiłyśmy zdecydować. Na temat Orffa pojawiło się już sporo publikacji, większość z nich w zeszytach PTCO opracowywanych i wydawanych w Akademii Muzycznej im. Fryderyka Chopina w Warszawie z myślą o członkach Towarzystwa i słuchaczach Studium Wychowania Muzycznego Carla Orffa.

Pomysł na artykuł przyszedł mi do głowy po otrzymaniu listu od dyrektora Studia 49 z Monachium, produkującego instrumenty perkusyjne, zwane instrumentarium Orffa, a także inne, profesjonalne. Pan Bernd Becker–Ehmck wraz z małżonką przesyła mi od wielu lat na Boże Narodzenie życzenia piękne w formie i treści. Oto krótki fragment listu, który zainspirował mnie do wybrania koncepcji artykułu, być może dziwnej dla niektórych czytelników:

> …Znów minął kolejny rok i nadchodzą Święta zachęcające do wyciszenia, dostrzegania piękna i dawania miłości. Ale równocześnie pytamy się nawzajem, co stało się z czasem, który przeminął, gdzie podziały się nasze postanowienia, marzenia, plany…?

Postanowiłam więc podążyć tropem czasu, który przeminął i z perspektywy kilkudziesięciu lat odtworzyć wydarzenia, które wyznaczyły drogę mojego życia, a przede wszystkim niezwykły związek z ideą wychowania muzycznego Carla Orffa.

Większość ludzi uważa, że każdemu w życiu towarzyszą przypadki i nie odgrywają one znaczącej roli, a przynajmniej nie należy doszukiwać się w nich logiki. Ja skłaniam się do myśli, że każdy tak zwany przypadek ma ukryty sens i prowadzi do nieznanego nam wcześniej celu.

Czas, który poprzedził spotkanie z Orffem

Urodziłam się na krótko przed II wojną światową i z wczesnego dzieciństwa pamiętam wybuchy pocisków, swąd palących się domów i paniczny strach przed odgłosem zbliżających się samolotów. Obok tych tragicznych wspomnień mam i dobre, ponieważ wszystkie dzieci nawet w najtrudniejszych warunkach potrafią znaleźć sobie choćby odrobinę bezpiecznej przestrzeni, w której starają się normalnie funkcjonować. Pamiętam zatem beztroskie zabawy z rówieśnikami, łażenie po drzewach i zachwyt po otrzymaniu kromki chleba ze śmietaną. Pamiętam też przepiękne bajki

Urszula Smoczyńska

i piosenki mojej starszej siostry, a także pierwsze lekcje muzyki. Naukę gry na pianinie rozpoczęłam w wieku 5 lat, a uczyła mnie młoda i śliczna pani Gala, w której kochałam się na zabój, a którą wkrótce deportowano do Związku Radzieckiego. Czy to był przypadek, że urodziłam się w rodzinie nauczycielskiej? Jakoś nikomu z domowników nie przyszło do głowy, żeby posłać mnie do szkoły, natomiast każdy, kto mnie dopadł, wciskał w głowę, co się dało. Biegałam więc samopas, czekając na powrót koleżanek ze szkoły, a w międzyczasie zapełniałam zeszyty szlaczkami, słupkami, kaligrafią, słówkami angielskimi, rosyjskimi, grałam na pianinie i mnóstwo czytałam, bo nauczyłam się tego bardzo wcześnie. Mając 11 lat trafiłam „na próbę" do tak zwanej klasy wyrównawczej, odpowiadającej dzisiejszej I licealnej. Zostałam w tej klasie ze starszymi od siebie o 3, 4 lata kolegami i koleżankami, dla których byłam

smarkatą i małolatą. Naturalnym skutkiem tej dziwacznej decyzji rodziców było zdanie matury przed piętnastym rokiem życia i wielka niewiadoma, co robić dalej? Trudno wymagać podejmowania życiowych decyzji od czternastolatki, więc mama z nową, pełną entuzjazmu nauczycielką muzyki wpadła na pomysł, abym zdawała do średniej szkoły muzycznej. Wylądowałam zatem na słynnej „Profesorskiej" i wraz ze starszą od siebie młodzieżą (znów!) rozpoczęłam naukę na dwóch kierunkach – fortepianu i rytmiki.

Szkoła na Profesorskiej reprezentowała bardzo wysoki poziom. Uczyli tam pedagodzy, którzy równocześnie wykładali w Wyższej Szkole Muzycznej i wykształcili wielu znanych później muzyków. Życie potoczyłoby się inaczej, gdybym przypadkiem nie poznała Jurka Smoczyńskiego, niezwykle utalentowanego, starszego ode mnie chłopaka, który imponował wszystkim genialnym słuchem i grą na fortepianie. Kochała się w nim spora grupa dziewczyn, więc oczywiście ja też, i to, że wybrał mnie, wydawało mi się darem niebios. Nastąpił logiczny ciąg wydarzeń – małżeństwo przed ukończeniem 18 lat (ku wielkiemu utrapieniu rodziców), a następnie narodziny, rok po roku, dwóch chłopców.

I tak, mając 20 lat, dwoje dzieci i ukończone dwie średnie szkoły stałam przed bardzo nieciekawą perspektywą. Mogłam uczyć rytmiki w przedszkolu i udzielać

Pierwsze lekcje u pani Gali

Urszula i Jerzy Smoczyńscy w maju 1953 r.

prywatnych lekcji gry na pianinie, czego szczerze nie cierpiałam.

Kolejny przypadek sprawił, że na spacerze poznałam inną młodą mamę, która właśnie szykowała się do egzaminu na studia w Akademii Muzycznej. Ówczesny Wydział Wychowania Muzycznego kształcił studentów na dwóch sekcjach – dziennej i wieczorowej dla pracujących.

Uzyskanie zgody męża na podjęcie studiów zajęło sporo czasu, ale z odsieczą ruszyła moja wspaniała mama, obiecując pomoc przy chłopcach. Tak rozpoczął się nowy etap życia, tyleż wyczerpujący, co ekscytujący. Tylko ci, którzy podjęli późne studia jednocześnie pracując i zajmując się rodziną, potrafią docenić wartość zdobywanej wiedzy. Uczelnia stała się moim drugim życiem, a 5 lat studiów dało mi niezwykłą satysfakcję. Mimo że tym razem nie byłam najmłodsza, ocenami górowałam nad swoją grupą i byłam przekonana, że po dyplomie skończę wreszcie z przedszkolami i zajmę się „poważną" pracą.

Los znów spłatał mi psikusa. Tuż po obronie pracy magisterskiej dowiedziałam się przypadkiem, że w rektoracie leży informacja o jakimś stypendium w Instytucie Orffa w Salzburgu. Jaki Instytut? Gdzie leży ten Salzburg? Co wspólnego ma z tym Orff? Oczywiście znałam nazwisko kompozytora, ale mimo przetartych wcześniej szlaków przez Alicję Rutkowską i Marię Przychodzińską, Andrzeja Stadnickiego i Agnieszkę Godlewską, o systemie i idei wychowania muzycznego Carla Orffa nie miałam bladego pojęcia. Wszystko stało się nieważne, gdy tylko pojawił się cień szansy

wyjazdu na wyśniony Zachód. Rozpoczęły się mozolne pertraktacje z mężem, który, co zrozumiałe, nie podzielał mojego entuzjazmu. I znów z pomocą ruszyła moja cudowna mama, obiecując zaopiekować się młodszym chłopcem. Starszego umieściliśmy na rok w gimnazjum z internatem.

We wrześniu przyszła odpowiedź z Instytutu – otrzymałam roczne stypendium! Pozostała do załatwienia sprawa paszportu, co w tamtym czasie stanowiło spory problem. Po 6 tygodniach oczekiwania, „spowiedzi" u antypatycznego funkcjonariusza i przymilnych uśmiechach dostałam cenny dokument. Spóźniona o 2 tygodnie, w połowie października, obładowana walizkami, z 20 dolarami w kieszeni (bo tyle tylko wolno było wywieźć z naszej kochanej Polski Ludowej), znalazłam się na Okęciu. Był rok 1969.

Salzburg

Te 20 dolarów wystarczyło akurat na taksówkę z lotniska w Wiedniu do Dworca Południowego, z którego odjeżdżał pociąg do Salzburga. Na szczęście bilet kolejowy wolno było kupić w Polsce, a w Salzburgu oczekiwała wcześniej przybyła Polka Iwona Wawryniewicz i profesor Vladimir Pos, czeski uciekinier po praskiej wiośnie. Już na drugi dzień znalazłam się w Instytucie, gdzie musiałam dla porządku zdać egzamin wstępny. Mimo bardzo słabej znajomości języka niemieckiego wszystko poszło jak z płatka, bo wykształcenie miałam o wiele lepsze niż inni słuchacze. W funkcjonowanie Instytutu i plan zajęć wprowadziła mnie Iwona – także absolwentka Wydziału Wychowania Muzycznego z Warszawy. Przyjechała wcześniej, bo już w kwietniu wiedziała o informacji z Salzburga. Tak jak i ja, przyjechała głównie po to, aby się wyrwać z Polski, a zajęcia w Instytucie traktowała jako dodatek otrzymany w pakiecie z wymarzonym Zachodem. Zajęć było mnóstwo i zajmowały ponad 8 godzin każdego dnia. Dla orientacji wymienię te, które pamiętam najlepiej: Obowiązkowe – kształcenie słuchu, harmonia, instrumentacja, historia muzyki z literaturą, instrument solowy do wyboru, flet prosty, perkusja i zespół kameralny, zespół wokalny, pedagogika, praktyki pedagogiczne, język niemiecki dla obcokrajowców, technika ruchu, improwizacja ruchowa, kształtowanie ruchu, akompaniament do ruchu, interpretacja ruchowa, taniec. Fakultatywne – taniec ludowy, tańce dziecięce, taniec historyczny, gra sceniczna, improwizacja fortepianowa oraz budowanie instrumentów. Z pewnością były jeszcze inne przedmioty, ale ich nie pamiętam.

Przedmioty ściśle muzyczne zaliczono mi bez egzaminu, ale i tak pozostałych było mnóstwo. Najwięcej, bo około 5 godzin dziennie, zajmował ruch. Wprawdzie miałam za sobą pięć lat rytmiki, ale to, co zobaczyłam w Instytucie, nijak się do niej nie miało. Pierwsze zetknięcie z techniką ruchu, a przede wszystkim z improwizacją ruchową, wprawiło mnie w osłupienie. W pięknej, słonecznej, sterylnie czystej sali tarzała się po podłodze gromada ludzi wydając przy tym przedziwne odgłosy. No nie, ja, magister sztuki, matka dwojga dzieci mam robić z siebie takie pośmiewisko? Nigdy w życiu! I tak przez pierwsze tygodnie siedziałam w kącie sali, tłumacząc się bólem głowy i innymi przypadłościami. Wymówki jednak kiedyś musiały się skończyć i – chcąc nie chcąc – ruszyłam z miejsca. Pociechą był fakt, że inne przedmioty nie budziły we mnie oporów. Z zapałem grałam na perkusji, z nieco mniejszym na flecie, natomiast pochłonął mnie język niemiecki. Każdego dnia uczyłam się na pamięć 20 słówek i po dwóch miesiącach swobodnie poprowadziłam lekcję w szkole podstawowej, gdzie uczył słynny profesor Wilhelm Keller.

Wracając do ruchu i wszechobecnej improwizacji, jak typowa, nieco zarozumiała Polka uważałam, że wyższe wykształcenie, ukończona rytmika i praktyka przedszkolna pozwalają mi na lekceważenie zbędnych w moim mniemaniu przedmiotów. Dodatkowym i chyba głównym powodem dystansowania się od większości przedmiotów związanych z ruchem, co wyraźnie widzę dopiero teraz, było wewnętrzne spięcie i paraliżujący lęk przed ośmieszeniem się i krytyką. Taki stan emocjonalny był dość typowy w tych czasach dla Polaków szukających szczęścia na Zachodzie. To bezsensowne nastawienie do niektórych zajęć nie przyniosło nic dobrego, bo większość uczestników zrobiła ogromne postępy i musiałam włożyć wiele trudu, żeby im choć w części dorównać. Z żalem muszę też przyznać, że za mało przykładałam się do techniki gry na instrumentach Orffa, ale przyczyna była zrozumiała – nie widziałam sensu w doskonaleniu techniki gry na instrumentach, których w Polsce nie było. Któż mógł przewidzieć, że czasy się zmienią i instrumenty te będą dostępne w naszym kraju.

To, co moim zdaniem było najbardziej charakterystyczne i najistotniejsze na wszystkich niemal zajęciach, to położenie ogromnego nacisku na rozwijanie własnej aktywności i inwencji twórczej. Niemal połowa każdej jednostki lekcyjnej przeznaczona była na samodzielną pracę w grupach, prezentację pomysłów, a następnie omówienie ich i podsumowanie całości. Przez długi czas odnosiłam wrażenie, że ukrytym powodem takiej koncepcji nauczania było ułatwianie sobie życia przez pedagogów. Musiało minąć trochę czasu, żebym zrozumiała głęboki sens i cel takiego systemu kształcenia w Instytucie, z jakim nigdy w Polsce się nie spotkałam.

Każdy popełnia błędy, mniejsze lub większe, dlatego uczciwie muszę przyznać, że i ja ich nie uniknęłam, ale mimo to kończąc roczny kurs, byłam inną osobą niż ta przemądrzała Polka, która pojawiła się jesienią i myślała z lekceważeniem o wielu zajęciach. W niezauważalny sposób nasiąkałam przez miesiące specyficzną atmosferą Instytutu, pełną życzliwości i tolerancji. Poznawałam ludzi z różnych stron świata, którzy wnosili ze sobą cząstki swojej kultury i obyczajów, ucząc akceptacji i zrozumienia „inności". Wszystkich nas połączyła wielka idea Orffa, a o sile nawiązanych wówczas więzów przyjaźni świadczy fakt, że przetrwały do dziś. Pożegnanie z Instytutem, pedagogami, przyjaciółmi i niezwykle pięknym Salzburgiem było ciężkim przeżyciem, ale czekała rodzina, dom i praca.

Po powrocie

Było lato 1970 r. Po długim pobycie w Austrii zetknięcie z polską rzeczywistością mogło każdego wpędzić w depresję. Nic dziwnego, że największym moim marzeniem stało się znalezienie pracy w Austrii lub w Niemczech i osiedlenie się tam z rodziną na stałe. Tymczasem jednak podjęłam pracę w kilku swoich dawnych przedszkolach i na szczęście przestałam mieć z tego powodu kompleksy. W Instytucie uświadomiono mi, jak ogromne znaczenie ma to, co robiłam dotychczas. Właśnie tam zobaczyłam, jak wysokie wymagania stawia się osobom pracującym z małymi dziećmi. W przeciwieństwie do naszych zwyczajów, najmłodsze dzieci miały do swojej dyspozycji specjalistów o najwyższych kwalifikacjach. Chyba ten fakt, dziś dla mnie oczywisty, sprawił, że przestałam odżegnywać się od dalszej pracy z przedszkolakami.

Mijały miesiące, a żadnej interesującej oferty pracy z Zachodu nie było… Późną wiosną 1971 r. otrzymałam zaproszenie od koła rytmiczek na letni kurs

Praca w przedszkolu w 1976 r.

w Płocku. Basia Turska, Basia Bernacka, Ewa Nowak chciały zobaczyć, co to jest „ten Orff" i czy w jakiś sposób przyda się rytmiczkom w pracy. Byłam przerażona nie na żarty! Naprawdę nie umiałam powiedzieć, czego się nauczyłam w Instytucie, a na myśl o zajęciach z grupą najlepszych rytmiczek w Polsce przechodziły mnie ciarki.

Bogu dzięki, dziewczyny nie słuchały moich wykrętów i najzwyczajniej w świecie zmusiły mnie do uporządkowania wiadomości. Było lato, wakacje, upał, a ja siedziałam u mamy w ogrodzie i starałam się wyłuskać z pamięci to, co przeżyłam w Salzburgu. Pomału, krok po kroku, zaczęły mi przychodzić do głowy rozmaite pomysły i po dwóch tygodniach byłam jako tako przygotowana do kursu. I to był początek nowego rozdziału w moim życiu.

Idea Orffa i nowe życie

Kurs wypadł nadspodziewanie dobrze, a idea Orffa zafascynowała rytmiczki tak bardzo, że zaczęły mnie zapraszać na kursy w różnych miastach Polski. Zrozumiałe, że każdy kolejny kurs zmuszał do wysiłku intelektualnego, ponieważ poczucie odpowiedzialności, a także ambicja, nie pozwalały mi na ciągłe powtarzanie tego samego materiału. Zadziałał bezbłędnie fenomen Orffa! Uruchomiły się mechanizmy twór-

czego myślenia, a pomysły zaczęły napływać do głowy z coraz większą łatwością. Dodatkowym atutem pracy w nowym systemie było łatwe nawiązywanie kontaktu emocjonalnego ze słuchaczami, co umożliwiało szybkie i atrakcyjne przekazywanie nowych treści. Wkrótce, bo już jesienią 1970 r., podjęłam pracę w Akademii Muzycznej, gdzie ówczesny dziekan Wydziału Wychowania Muzycznego, Antoni Szaliński, zaproponował mi prowadzenie zajęć muzyczno-ruchowych z położeniem głównego ciężaru na system Orffa. Czekało mnie nowe wyzwanie, bo musiałam przygotowywać się do pracy z nowymi odbiorcami. Czego innego wymagali czynni nauczyciele na kursach, czego innego dzieci w przedszkolach, a czego innego studenci. Wtedy na dobre uświadomiłam sobie, ile dał mi roczny pobyt w Salzburgu.

W naszym środowisku wiadomości rozchodzą się w tempie allegro i fama o atrakcyjnej idei Orffa dotarła do wielu osób zainteresowanych wychowaniem muzycznym. Poproszono mnie o prowadzenie z dziećmi przedszkolnymi otwartych zajęć, na które przychodziły słuchaczki z koła rytmiczek prowadzonego przez niezapomnianą Marię Wieman. Po którymś spotkaniu zaproponowała mi ona współpracę w radiu przy pisaniu i prowadzeniu muzycznych audycji dla przedszkoli. W radiu pozostałam na wiele lat, a dla I Programu napisałam tych audycji kilkaset.

Idea Orffa stała się na początku lat siedemdziesiątych bardzo znana i w wyniku tego w 1973 r. otrzymałam z Wydawnictwa COK propozycję napisania książki dla nauczycieli i instruktorów zajęć muzyczno-ruchowych pragnących unowocześnić swoją pracę. Pierwsza książka, to było naprawdę coś!

Przeżyłam przy niej drogę przez mękę, ponieważ było to nowe zadanie, o którym nie miałam pojęcia. Usystematyzowanie materiału, decyzja o wyborze treści, formy, a zwłaszcza opisy ruchu dały mi dobrą szkołę. Żadna z następnych książek, a napisałam ich kilkanaście, nie kosztowała mnie tyle wysiłku, co ta pierwsza. Wkrótce po jej ukończeniu zwróciło się do mnie wydawnictwo WSiP wraz ze wspaniałą nieżyjącą już Magdaleną Stokowską z propozycją napisania książki dla przedszkoli. Powstała kolejna pozycja *Kalendarz muzyczny w przedszkolu*.

Ze WSiP-em związałam się ponad 30 lat temu, a nasza współpraca trwa do chwili obecnej. To tam powstała polska adaptacja *Muzyki dla dzieci* Orffa, 500-stronicowa książka oparta na polskim materiale muzycznym. Dzieje tej książki są smutne. Śmierć Magdaleny Stokowskiej i zmiany w redakcji, a także słabo działający marketing sprawiły, że książki nie było w sprzedaży, a zalegała magazyn. Ktoś nieoczekiwanie podjął decyzję o przekazaniu pozostałych egzemplarzy na przemiał. Dziś można ją kupić tylko poprzez Internet.

Czas mijał, pracy miałam coraz więcej, ale czerpałam z niej mnóstwo radości i satysfakcji. Przestałam marzyć o wyjeździe na Zachód, tym bardziej że oprócz licznych kursów w Polsce prowadziłam też zajęcia na letnich kursach w Instytucie Orffa w Salzburgu. Pracy wciąż przybywało i dziś trudno mi pojąć, jak sobie dawałam radę z tyloma obowiązkami. W nieustającym pośpiechu biegałam z przedszkola do przedszkola, do Akademii Muzycznej, do radia, a w soboty i niedziele pisałam książki lub jeździłam na kursy. Do dotychczasowych zajęć doszła telewizja. Pierwsze krótkie programy pojawiły się w *Tik-Taku* i w *5, 10, 15*, ale bardzo szybko „kupiło" mnie *Domowe przedszkole*. Udany związek z tym programem trwał około 18 lat i przyniósł mi wiele radosnych przeżyć. Potęga telewizji jest ogromna i to, co od lat robiłam w przedszkolach, stało się udziałem tysięcy

Plan z programu *Domowe przedszkole*

dzieci w całej Polsce. Z prawdziwym wzruszeniem odbieram dowody ich sympatii do chwili obecnej, gdy już dorośli, przypadkowo mnie spotykając, mówią, że wychowali się na *Domowym przedszkolu* i tam zainteresowali się muzyką. Dzięki widzom tego programu dostałam Order Uśmiechu, który bardzo sobie cenię. Jestem głęboko przekonana, że wszystko to zawdzięczam pobytowi w Instytucie Orffa, a przede wszystkim samemu twórcy niezwykłej idei, którą nam przekazał.

Studium Orffa i Polskie Towarzystwo Carla Orffa

Przez wszystkie lata swojej działalności byłam w ścisłym kontakcie z Instytutem Orffa, wykładowcami, kolegami, a także z bardzo prężnie działającą Fundacją Orffa, której główną założycielką była wdowa po kompozytorze Liselotte Orff. Wszyscy z zainteresowaniem obserwowali to, co dzieje się w naszym kraju i służyli dobrymi radami, a następnie dużą pomocą. Dzięki nim, (a także i dla nich) w r. 1990 zorganizowałam pierwszy międzynarodowy kurs w Akademii Muzycznej w Warszawie. Zaprosiłam trójkę wykładowców z Instytutu. Byli to Reinhold Wirsching, Christiane Wieblitz i Ernst Wieblitz. Słuchaczami kursu byli studenci i absolwenci uczelni, razem około 100 osób. Nie będę się rozpisywać o tym, jaki przeżyłam wówczas horror. Po raz pierwszy w życiu organizowałam taką wielka imprezę, a o niczym nie miałam pojęcia. Rachunki, bilety, koszty podróży, zakwaterowanie, honoraria z przeliczaniem złotówek na szylingi, zamawianie sal, zakup materiałów do zajęć, tłumacze dla dwojga wykładowców, opłata za sprzątanie sal itp.

Kurs trwał 3 dni, udał się znakomicie, po nim solidnie zachorowałam, ale, Bogu dzięki, przeżyłam i zdobyłam kolejne doświadczenie. Ten pierwszy kurs rozpoczął całą serię kolejnych. Pomagał mi przy ich organizacji niezastąpiony Wojtek Misiak, który stał się moją prawą ręką w spra-

wach orffowskich. To właśnie z nim postanowiliśmy założyć Towarzystwo Orffa. Potrzeba była naprawdę paląca i ze względu na polskich nauczycieli, i na Fundację Orffa, która partycypowała w kosztach kursów i bardzo interesowała się naszą działalnością.

Założenie Towarzystwa nie było rzeczą tak prostą, jak nam się początkowo wydawało. Należało zwołać zjazd założycielski, wybrać władze, napisać statut! Oboje mieliśmy o tym jednakowe, czyli zerowe, pojęcie. Zorganizowanie zjazdu, wybranie władz to był drobiazg. Ale statut? Pożyczyłam od syna adwokata jakieś statuty i na ich wzór wysmażyliśmy własny. Ale polski sąd nie był głupi i kazał nam kilkakrotnie robić istotne poprawki. Wreszcie za którymś razem się udało i w kwietniu 2004 r. zarejestrowano nas jako Polskie Towarzystwo Carla Orfa w obecności rektora Ryszarda Zimaka, Wojtka Misiaka i mojej. O działalności i dalszych losach Towarzystwa najlepiej wie jego obecna fantastyczna szefowa, Iza Wałaszewska wraz z dobranym przez siebie zespołem.

Być może trudno w to uwierzyć, ale Studium Wychowania Muzycznego Carla Orffa również powstało przypadkiem. Od wielu lat pracowałam w Akademii Muzycznej na stanowisku starszego wykładowcy. Dorobek miałam bogaty, ale… nie miałam doktoratu i co za tym idzie, profesury. Wprawdzie kilka razy zabierałam się do pisania pracy doktorskiej, ale zwykle w tym samym czasie otrzymywałam propozycję napisania kolejnej książki. Przyznam szczerze, że było to dla mnie o wiele ciekawsze zadanie, a z całą pewnością pożyteczniejsze dla nauczycieli, którzy z moich książek korzystali.

Ryszard Zimak, ówczesny dziekan wydziału, cenił moje dokonania i w uznaniu zasług postanowił wystąpić dla mnie o tytuł profesora. „Wynalazł" w Dzienniku Urzędowym (ustaw?) jakiś paragraf, dzięki któremu miał prawo to zrobić. Zaznaczył przy tym, że oprócz przygotowania dossier byłoby dobrze, gdybym zorganizowała coś spektakularnego w Uczelni. I to właśnie było przyczyną powstania Studium! Napisałam program, opracowałam plany zajęć, zrobiłam kosztorys, znalazłam wykładowców, co pochłonęło dużo czasu i wysiłku. Do pomocy przy prowadzeniu Studium przydzielono mi Wojtka Misiaka, któ-

Liselotte Orff – wdowa po kompozytorze oraz Urszula Smoczyńska podczas wręczania medalu Pro Merito w Monachium

ry równocześnie był zatrudniony w Instytucie Pedagogiki.

Inauguracja Studium nastąpiła w październiku 1993 r. Zgłosiło się kilkadziesiąt osób z całej Polski. To była wspaniała przygoda i dla słuchaczy, i dla prowadzących. O takich odbiorcach można tylko marzyć. Wszyscy uczestnicy – niemal sami nauczyciele, byli spragnieni czegoś nowego, pełni entuzjazmu i niezwykle chłonni. Zdarzało się często, że jechali do Warszawy nocą, cały dzień uczestniczyli w zajęciach, po których spędzali kolejną noc w pociągu. Nie pamiętam, żeby ktoś kiedykolwiek narzekał. Korzyści płynące ze Studium są nie do przecenienia. W Polsce nagle znalazło się kilkuset nauczycieli, którzy, wykształceni nową metodą, całkowicie zmienili sposób swojej pracy, a także stosunek do wykonywanego zawodu.

Dla informacji pozwolę sobie wspomnieć, że Ryszard Zimak wkrótce został rektorem, w nawale pracy nie miał czasu ani głowy do zajmowania się moimi sprawami i w rezultacie Studium działało na medal, a ja pozostałam starszym wykładowcą. Tak było pewnie w górze napisane…

Początkowo Studium trwało 2 lata, ale po jakimś czasie zostało skrócone do 1 roku. Prowadzenie pod koniec przejęła Kasia Jakóbczak, ponieważ ja, jako świeżo upieczona emerytka, nie miałam do tego prawa.

Towarzystwo prężnie działa, natomiast Studium już nie ma. Po zmianie władz uczelni atmosfera stała się mniej przychylna i z powodów bardzo prozaicznych, bo finansowych, Studium z wielką stratą dla słuchaczy zawiesiło swoją działalność. Może kiedyś… Żal z powodu zakończenia pracy Studium wyraziła też Fundacja Orffa wraz z Liselotte Orff, a także nasz wielki sponsor i daleki przyjaciel profesor Hermann Regner, który przez wiele lat pilotował polskie poczynania w zakresie krzewienia idei Carla Orffa. Dla zainteresowanych pozwolę sobie podać nazwiska zagranicznych wykładowców, którzy uczyli na naszych kursach: Ernst i Christiane Wieblitz, Reinhold Wirsching, Peter Cubasch, Werner Beidinger, Verena Maschat, która zafundowała nam logo Towarzystwa oddając na nie swoje honorarium za kurs w Sanoku, Lenka Pospišilova, Soili Perkio, Uli Jungmair.

Podsumowanie

Tak spróbowałam bardzo ogólnie opisać mój 40-letni związek z Orffem, zadając sobie odwieczne pytanie starych ludzi: gdzie podział się ten czas i kiedy minął? Patrząc na efekty swoich działań i obserwując młode nauczycielki, które przejęły Orffowską pałeczkę – chyba go nie zmarnowałam. Spotkały mnie też niezwykłe wyróżnienia. Fundacja Orffa przyznała mi kilka lat temu medal Pro Merito, dawany raz w roku osobie zasłużonej dla krzewienia idei Orffa, a w Mińsku Mazowieckim dyrektorka Przedszkola nr 4 Ewa Parszewska doprowadziła do nazwania moim imieniem prowadzonej przez siebie placówki. Oba wydarzenia przeżyłam bardzo głęboko i niczego więcej nie mogłabym sobie wymarzyć.

Bardzo wysoko cenię sobie życzliwość i przyjaźń byłych wychowanków, studentów, słuchaczek i słuchaczy Studium, a zwłaszcza osób, które ze mną współpracują i stały się mi bliskie jak własna rodzina. Nie wymieniam ich nazwisk, ponieważ nie chciałabym nikogo skrzywdzić pominięciem na tej dość długiej liście.

Dzięki Orffowi zmieniło się moje życie, sposób myślenia, stosunek do uczniów i tych małych, i tych dużych. Mam szczerą nadzieję, że ta zmiana nastąpiła nie tylko u mnie, bo życzę każdemu nauczycielowi, żeby kochał to, co robi, szedł do pracy z radością i nie liczył dni do emerytury.